



*Jan Kwaśnicki*

(WY)RZUTY OKA WSTECZ PANA JANKA KWASNICKIEGO

Kiedy zwrócono się do mnie abym jako jeden z tych "weteranów naszego jazzu" napisał wspomnienia doznałem oczywiście tak zwanych mieszanych uczuć. Każdy ich doznaje w takim przypadku. Musi być na temat i po kolei. Trzeba zatem od początku. Każdy, nawet najstarszy stwór kiedyś się przecież narodził. Mnie się to przydarzyło we Lwowie, jeszcze w mrocznych latach sanacji. Z muzyką zetknąłem się już w kolebce będąc. Ojciec kupił był fortepian, na którym starsza ode mnie siostra nabywała kultury. Rodzice wcześniej dość zauważyli że synek się dławi smoczkiem kiedy siostra zaczyna ćwiczyć. Nie chcąc zmarnować tak rychło objawionego talentu muzycznego mamusia zaczęła mnie wysadzać na kręciym stołku do fortepianu, co znakomicie mi przybliżyło instrument. Przyszła wojna. Kiedy zaczęła się w 1939 - ja już też walczyłem z klawiszami. Inne nauki pobierałem również, ale jakby mniej regularnie. Ze dwa miesiące w pierwszej klasie, potem ze trzy miesiące w trzeciej. Przerwy były na wojnę. Dopiero po przyjeździe do Gliwic wraz z rodziną i fortepianem, zaraz po wycięciu wyrostka robaczkowego, kaganiec oświaty został mi założony już mniej więcej na stałe. W nauce muzyki miałem większą ciągłość, ponieważ we Lwowie albo nauczycielka przychodziła do nas albo my do niej, albo chodziliśmy do szkoły muzycznej. W Gliwicach więc mogłem z miejsca zostać skierowany do Instytutu Muzycznego. Nie było zresztą wyboru, gdyż tak właśnie nazywała się gliwicka szkoła muzyczna w początkach swego istnienia. Ach, cóż to była za szkoła! Jedna z pierwszych wysepek normalności w powojennych Gliwicach, w których na każdym kroku widać było jeszcze ślady tego co działo się tu przed rokiem. W naszej Szkole jedyne co

mogło przypominać wojnę to uparczywa walka z instrumentami, której odgłosy słychać było już z dala, kiedy dochodziło się do tej willei na ul. Kościuszki. A jacy dowódcy prowadzili nas - uczniów do owych bojów! Ludomir Różycki z żoną. Państwo Zurawlewowie. Jerzy Zurawlew - inicjator i współtwórca Konkursów Chopinowskich w Polsce, jego żona Anna - również pianistka. Elżbieta Zakrzewska - wychowanka tego samego co Jerzy Zurawlew słynnego pianisty i muzykologa Prof. Michałowskiego. A uwielbiana przez uczniów Pani Schmidt, matka Andrzeja, o którym na pewno będzie tu jeszcze wiele razy mowa. A inni, również wspaniali ludzie? No i wreszcie Wódz Naczelny, Główny Strateg i ulubiony przez wszystkich Dyktator-Dyrektor Marcin Kamiński! Był Dyrektorem Szkoły Muzycznej, a równocześnie Kompozytorem, Pianistą, Pedagogiem, Łowczym Państwowym, Przewodniczącym Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Fryderyka Chopina w Gliwicach i jeden Bóg wie czym jeszcze. Wszystko z dużej litery, gdyż wszystko co robił Marcin Kamiński było z dużej litery.

No i wśród uczniów były nazwiska, które potem znała cała Polska. Andrzej Kurylewicz, Wiktor Kolankowski, Stanisław (późniejszy "Drażek") Kalwiński. W takim to doborowym towarzystwie miałem zaszczyt się obracać, choć po prawdzie to nie za bardzo byłem tego świadom. Był bowiem ze mnie jeszcze naprawdę wyrostek, choć już bez wyrostka. Muzykę wprawdzie rzeczywiście lubiłem, ale uwielbiałem też inne konkurencyjne dziedziny jak piłka nożna, ping-pong, czy pływanie, Bakcyl synkopy nie zdążył się jeszcze we mnie rozmnożyć, choć gdzieś już tam został posiany. Pamiętam, że jeszcze we Lwowie wymykałem się wieczorami na cmentarz, gdzie zza muru można było posłuchać orkiestry grającej Niemiaszkom na dansingach w pobliskiej knajpie. Po powrocie do domu najpierw obrywałem od Ojca lanie za te wycieczki, a potem siadałem do fortepianu próbując odtworzyć zasłyszane kawałki. Bardzo mnie fascynowała ta dziwna, ostra harmonia no i rytm. Na częstych i gwarnych przyjęciach domowych, zamiast Czernym czy Clementim wolałem popisywać się swoim rozrywkowym repertuarem. Były to takie pierwsze chałtury. Tyle że za darmo i na trzeźwo. Głównym jednak nurtem moich "działań" muzycznych była tak zwana muzyka poważna. Miałem zaszczyt być uczniem Państwa Zurawlewów, najpierw Pani Anny, a potem samego Profesora. Uczył się też u Niego Andrzej Kurylewicz i chyba Wiktor Kolankowski.

Mając takiego pedagoga trudno było się czegoś nie nauczyć. Zaczęły się pierwsze popisy. Najpierw w Szkole, gdzie audytorium składało się z grona "surowych" nauczycieli z gromadki rozanielonych genialnością swoich pociech rodziców oraz z grupki grających po kątach w okręty kolegów i koleżanek, którzy nie dostąpili "zaszczytu". Ponieważ nasz dyrektor chciał aby szkoła dała coś "dla miasta", rozpoczęły się także występy i poza jej murami. Jeden z pierwszych takich występów na którym grałem, odbył się w sali dzisiejszego (tak, tak, Panie Malitowski) - Kinoteatru "X" - wtedy Studenckiego Domu Kultury. Był to rok 1948. W tym też czasie rozpoczęły się przygotowania do ogólnopolskiej imprezy pod przydługą nieco nazwą "Międzyszkolny Konkurs Młodych Talentów im. Fryderyka Chopina". Przygotowania też były odpowiednio długie. Najpierw eliminacje w szkołach w celu wyłonienia tak zwanych "ekip". Potem maratonowe eliminacje w Katowicach, dla wyłonienia finałowej ósemki (kandydatów było ponad czterystu). Wreszcie Finał Konkursu, już pod koniec 1949 roku, również w Katowicach. Państwo Zurawlewowie w owym okresie przenieśli się do Warszawy i przekazali mnie w charakterze pałeczki Pani Profesor Elżbiecie Zakrzewskiej. Była to cudowna Pani. Niby surowa, wymagająca, zrzędząca ciągle przez nos. a mimo to szybko stała się dla mnie tak bliska jak ktoś z rodziny. Pamiętam, że już z Panią Zakrzewską jeździliśmy na przesłuchania eliminacyjne do Katowic. Szkoła wystawiła nam najprawdziwsze delegacje służbowe. Z blankietami i dietami! Ponieważ przesłuchań było naprawdę okropnie dużo, czasami trzeba było tego samego dnia grać przed południem i po południu. Wtedy Pani Profesor zabierała mnie do restauracji na obiad, za który, jak mówiła, płaćcia z tych diet. Oj dopłacała, biedula, na pewno ze swojej kieszeni do tych obiadków, ponieważ jak Polska Ludowa długo istnieje - nigdy dieta nie wystarczała na porządną posiłek. A Pani Elżbieta dbała aby jej pupilek dobrze zjadł i miał siły do dalszej walki. Sama zresztą nie lubiła jeść byle czego, bo była to wytworna dama. Z tych obiadków szczególnie utkwiły mi w pamięci pieczone kurczaki i ciemne piwo. Moja Pani bardzo lubiła ciemne piwo i widocznie żał jej było, że piłem tylko kompot, gdyż zawyrokowała: "...Ja też miałam czternaście lat kiedy pozwolono mi pierwszy raz wy-

pić ciemne piwo i nie zmanierowałam się. Może i tobie nie zaszkodzi..". Dla mnie był to kolejny symbol dorosłości. Mogłem już sobie strzelić piwko do obiadku. Wprawdzie małe i ciemne, ale to już było coś! No i tak dobrnęliśmy do finału konkursu. Odbył się on w auli Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach.

W czasie eliminacji graliśmy w salach lekcyjnych na wysłużonych fortepianach o miękkiej, wygranej klawiaturze. Nawet tuż przed występem finałowym rozgrywałem się w bocznej sali na takim właśnie instrumencie. W auli, na podium, stały trzy fortepiany do wyboru. Usiadłem oczywiście do najbliższego, bo trema była okropna i ledwie zdobyłem się na podregulowanie wysokości stołka. Był to nowiutki instrument z twardą, nierozgraną klawiaturą. Po kilku pierwszych taktach wpadłem w panikę. Na program każdego kandydata składała się część obowiązkowa, do której wchodziły tak zwane utwory techniczne, typu etiudy, które trzeba było grać w pierwszej kolejności. Dopiero później można było wykonać część "dowolną", do której utwory dobierali sami kandydaci na artystów, a ściślej ich nauczyciele. Przeważał oczywiście Chopin. Ja miałem do odtworzenia bardzo szybciućką etiudę, w której należało "dawać perełki" zarówno w prawej jak i w lewej ręce. Perełki skończyły się już po kilkudziesięciu uderzeniach. Poczułem że mi "rączka więdnie" i sztywnieje, jak również poczułem że mi włosy stają na głowie dęba. Myśli przelatują jak oszalałe. "Przecież ja tego nie dogram do końca za żadne skarby!". "Co robić?!" "Przerwać, wstać i co? Ukłonić się?" "A może nie kłaniać się tylko dać dęba?" "A może udać że zemdlałem!!!"

...W pewnej chwili zdawało mi się że słyszę ten charakterystyczny zduszony nosowy szept Pani Zakrzewskiej: "Zwolnij! Zwolnij i ściszej". Nie mogłem Jej słyszeć, ponieważ siedziała gdzieś w dalszych rzędach. Odruchowo jednak zwolniłem i ściszyłem, dzięki czemu dobrnąłem do końca. Następny utwór był na szczęście wolniejszy i potem już jakoś poszło. Rozdanie nagród odbyło się z pompą. Mnie udało się zająć drugie miejsce. Pani Zakrzewska nic nie mówiła, tylko pomrukiwała coś przez nos i tak jakoś dziwnie na mnie patrzyła. Dopiero później, po powrocie do Gliwic, przy pożegnaniu, uśmiechnęła się, pocałowała mnie w czoło i powiedziała: "Wiesz dlaczego cię całuję? Nie za to że zająłeś jakieś tam miejsce, bo może i należało ci się, ale za to że dograłeś

tę etiudę do końca". Ona dobrze wiedziała co się ze mną działo na tej estradzie! Teraz widzę tamten obrazek sprzed lat - jak by nie było czterdziestu - tak jakby się to działo wczoraj. Głęboko mi ta moja Pani zapadła w serce i w Jej niejako obecności chciałbym doprowadzić do końca wątek wspomnień związanych z muzyką poważną. Postaram się zrobić to w dużym skrócie, co jednak nie oznacza aby wspomnienia te nie były dla mnie ważne.

Ta druga lokata na Konkursie miała również i ujemne, w ostatecznym rozrachunku, konsekwencje. Znalazłem się w grupie uczniów których wystawiano na wszelkie popisy i koncerty. Często wyjeżdżaliśmy i do innych miast. Zwalniano mnie z części zajęć teoretycznych abym mógł więcej czasu poświęcić instrumentowi i robić repertuar. Los, a ściślej mówiąc upór mego ojca zrzadził inaczej. Ojciec był człowiekiem trzeźwo myślącym i uważał, że grać można dla przyjemności, natomiast do zarabiania na życie potrzebny jest jakiś "uczciwy" zawód. Wymarzył sobie, że syn będzie inżynierem i nie było na niego żadnej siły. Zaraz po maturze zdałem egzaminy wstępne na Politechnikę i o dziwo zostałem przyjęty na studia. Wpadłem więc w ten młyn uczelniany, który na pierwszych latach szczególnie był bardzo absorbujący czasowo. Równocześnie w Szkole Muzycznej rozpoczął się okres podporządkowania spraw formalnych i trzeba było wszystkie zaległości odrobić. Nie mogłem sobie poradzić z nawałem zajęć na Uczelni i nie mniejszą ilością pracy w Szkole. I cóż, pod koniec pierwszego roku studiów zrezygnowałem z dalszego uczenia się muzyki. Pamiętam że zaraz po wakacjach Pani Zakrzewska przyszła do nas do domu. Wdrapała się staruszka na to nasze czwarte piętro i przeprowadziła długą rozmowę z moimi rodzicami. Ojciec był jednak nieugięty. Wtedy powiedziała do mnie: "...W takim razie ty będziesz przynajmniej przychodził do mnie prywatnie na lekcje, a zapłacisz jak już będziesz tym inżynierem...". Chodziłem więc kiedy mogłem i tak długo jak Ona mogła. Niestety nie za długo. Kiedy zmogła ją ciężka choroba, przy jednym z ostatnich naszych spotkań powiedziała: "Jasiu, ty nie możesz przestać grać. Graj byle co, nawet ten swój jazz, ale graj!...". Kochana, mądra, niezapomniana Pani Zakrzewska. Nawet teraz doprowadziła mnie pod wątek jazzowy, którym postaram się ruszyć już z kopyta.

Trzeba bowiem uczciwie powiedzieć że nie tylko praca na Uczelni utrudniała mi kontynuowanie nauki w szkole muzycznej. Działała już "trzecia siła" - bardzo synkopowana, która zaczęła wywierać na mnie coraz poważniejszy wpływ już od roku 1950, kiedy chodziłem jeszcze do dziewiątej klasy w liceum. W gliwicach już dawno szemrał strumyczek muzyki synkopowanej. Na początku 1946 roku, tak, na początku 1946 roku(!) pan Andrzej Schmidt sformował "Sweet Jazz" - zespół który już w tym czasie grał Ellingtona, Gershwina, Glenna Millera i innych. Działali również Kurylewicz i Kolankowski, których jako o kilka lat starszych ode mnie, urok tej muzyczki ogarnął znacznie wcześniej. Wszystko to działo się obok mnie, ale ja jeszcze chyba nie dorosłem aby "zaskoczyć". Był chyba, a raczej na pewno rok 1950. Zagoniono nas (uczniów) do auli. Zdarzało się to dość często, gdyż w tym czasie bujnie właśnie rozkwitały różne akademie "z okazji" i "ku czci". Lubiliśmy to nawet, bo zawsze urwały się na jakieś lekcje. Nie zdziwiliśmy się widząc na podium pulpity muzyczne i przygotowany do grania fortepian. Do dobrego bowiem zwyczaju należało, że po części oficjalnej takiej akademii odbywała się "część artystyczna". Zaszyłem się więc w strategiczny kącik i ... zaraz tego pożałowałem. Na estradę weszli muzycy, nasz pan dyrektor zapowiedział że odbędzie się "audycja w ramach umuzykalniania", następnie orkiestra zaczęła grać. Moje z natury długie uszy wydłużyły się natychmiast jeszcze bardziej, albowiem bardzo było piękne to co grali. Za chwilę od fortepianu wstał drobnutki, szczupłutki pan, podszedł do mikrofonu i powiedział że był to fragment "Błękitnej Rapsodii" amerykańskiego kompozytora George'a Gershwina, którym to fragmentem zespół zawsze swoje audycje rozpoczyna. Wywołało to dreszczyk emocji, ponieważ nie byliśmy już tacy głupi i poczuliśmy, że oto, jakimś psim swędem, mamy okazję pokosztować zakazanego owocu w pełnym majestacie legalności. W radiu, czy przez głośniki na ulicach takiej muzyczki się nie uświadczyło. Wtedy już wyraźnie "szkodziła ona na socjalizm". A tu pan mówi, wprawdzie nie o jazzie, tylko o "amerykańskiej muzyce ludowej", orkiestra gra tak że nóżki same się ruszają ... Dyrektor nie tylko nie wyrzuca ich z estrady, ale jeszcze sam słucha ... Dziwna sprawa, Koncert ten zrobił na mnie ogromne wrażenie; jakby odsłoniła

się jakaś kurtyna. Andrzej Schmidt "robił" na wszystkich możliwych etatach. Grał na fortepianie, dyrygował a nawet śpiewał! Tak, śpiewał. Pamiętam że była to jakaś aria z operetki i pan Andrzej partnerował śpiewaczce w duecie. To że operetka wcale mnie nie zrażało, ponieważ dobrze wiedziałem iż jest to "zmyłka" dla zmylenia przeciwnika. No i wreszcie prowadził konferansjerkę, która niepostrzeżenie zmieniała się w prelekcję. Pan Andrzej mówił o wszystkim co trzeba, nie nazywając niepotrzebnie rzeczy po imieniu. I tak było wiadomo. A jak mówi! Kto miał okazję słuchać Pana Schmidta opowiadającego o muzyce ten dobrze wie. Kto nie miał takiej okazji - niech żałuje ... W koncercie występował jeszcze "chórek", czyli kwartet wokalny, w którym śpiewali Andrzej Kurylewicz i Wiktor Kolankowski. Wykonali między innymi Marsza Dunajewskiego i coś czeskiego co w zamierzeniu kompozytora miało chyba być polką. A co oni z tego zrobili! Piękna, skupiona ostra harmonia i swingujący rytm. Oszaleć można było z radości. Kolejna doskonała "zmyłka". Po koncercie wiara zamiast się rzucić hurmem do wyjścia, aby jak najszybciej być już na podwórzu, zaczęła się skupiać przy estradzie, podsłuchiwać strzępki rozmów, podglądać jak muzycy pakują instrumenty, odczytując głośno napis na pulpitych "Schmidt - Jaworski". Ja żałowałem tego swego "strategicznego" kącika, ponieważ nie mogłem się dopchać. Potem już snułem się za tym zespołem jak cień. Gdzie tylko występowali i gdzie udało mi się wśliznąć. Podchwyciłem co ważniejsze tematy z ich repertuaru, wygrywałem konkursy na koncertach, polegające na tym, że jak ktoś z publiczności odgadł tytuł i kompozytora specjalnie w tym celu nie zapowiadanego utworu, to po zakończeniu występu orkiestra grała dla zwycięzcy dowolny numer wybrany z pięknie wydrukowanego repertuaru zespołu. Niech mi ktoś powie że nie była to doskonała działalność popularyzatorska. Zwłaszcza w tamtych czasach. Nosiliem nawet kwiaty na estradę, które kupował zakochany w solistce Hance Raczyńskiej, mój starszy kolega Tadeusz Pfuźner, ale sam wstydił się podać. W zamian za te usługi czasami załatwiał wejście na imprezę. bo chodził do jednej klasy z Kurylewiczem. Z powodu chyba tylko tych wiązanych transakcji mogłem się trochę z Tadzikiem "pokołegować". W tym okresie życia, kiedy jeden zawodnik ma lat czternaście a drugi



już jest maturzystą, różnica wieku to różnica pokoleń. Kto by tam sobie głowę zwracał gówniarzami bez powodu. Z tej też przyczyny moje kontakty z Kurylewiczem czy Kolankowskim były bardzo w owym czasie nikłe. Pfutzner również grał na fortepianie i chodził do szkoły muzycznej. Zaczął tam przynosić, prosto ze źródła, różne dziwy i dzieła się nimi ze mną. Zaczęło się od "In The Mood". Wiedział już że to jest "Boogie-Woogie". Ale mało tego. Podłapał "knif" pod tytułem "frazo boogie-woogie". Wy tłumaczył mi że jak tylko trzymać się tych dwunastu taktów, a lewą rączką "śadzić" w odpowiedniej kolejności odpowiednie akordy, to prawą można sobie kombinować różne rzeczy, niekoniecznie temat "In The Mood". a to też będzie "boogiewoogie". Nawet lepsze, bo improwizowane. Wkrótce zaczęły nadchodzić kolejne rewelacje. Jedną z nich był literowy zapis akordów, czyli tak zwane "funkcje". Był to prawdziwy przezwrot. Zamiast dużej ilości nut od góry do dołu, przez dwa klucze - wystarczała jedna kropczka i pod spodem napisane D7, albo C7/9, czy Gm6 na przykład i klezmer wszystko wiedział! W rozgryzaniu tych tajników brali już udział Tadek Kosiński i Janusz Łoś, którzy także interesowali się tą muzyką. Jako trochę starsi ode mnie potrafili szybciej wyciągnąć z tych nauk praktyczne wnioski. Na mojej studniówce w 1952 roku ja jeszcze tańczyłem z paniemką, a oni już nam grali do tańca. Potem naturalną kolejną rzeczą pojawiły się tak zwane "primki", czyli melodie zapisane pojedynczymi nutami i funkcjami literowymi pod spodem. Jednym z pierwszych tematów jaki w ten sposób poznałem był "How High The Moon" (który potem nazwaliśmy "Hałhajem" lub zgoła jeszcze brzydziej...). Rychło okazało się że każdy temat ma swoją frazę i swoje funkcje, jak też, że na każdy temat można improwizować. Byle się frazy trzymać ... Tak więc baza wiedzy klezmerskiej została w zasadzie opanowana. Ogromnym przełomem było także zakupienie (gdzieś pod koniec 1950 roku) radioodbiornika marki "Pionier". Dotychczas miałem radio na kryształek i słuchawki, własnej konstrukcji zresztą. A tu długie, średnie a przede wszystkim krótkie fale. Wszędzie gra! Szybciutko "odezwałem" fale i godziny nadawania odpowiedniej muzyki podczas stałych audycji radia "Rias Berlin" i jakiejś radiostacji US Army w Europie. Jeszcze trochę a miała

nadejść era "Music USA" Willisa Conovera (chyba pięćdziesiąty trzeci lub czwarty) - która trwa do dziś. Słuchało się tego namiętnie ale po cichutku, żeby nie rzucić się w oczy ... Potem tylko następowała wymiana doświadczeń z kolegami, którzy słuchali "the same tune, the same station" ... Jednym z takich kolegów, z którym się przyjaźniłem, a którego poznałem jeszcze we Lwowie w tamtejszej szkole muzycznej - był Marek Szymaszkiewicz. W Gliwicach też przez pewien okres chodziliśmy do tej samej klasy a i później trzymaliśmy się razem wiele lat. Marek miał doskonały słuch i świetną pamięć muzyczną. Dzięki czemu łatwiej było razem zapisywać słyszane przez radio tematy. Mimo jednak niewątpliwiej smykałki muzycznej nie grał on właściwie na żadnym instrumencie. Tak się jakoś złożyło że ja kupiłem od znajomego klezmera lekko pękniętą gitarę. Żeby jakoś to pęknięcie załagodzić klezmerów, dodatkowo, gratis, pokazał mi tak zwane "chwytów barowe". Pamiętam, że nauczyłem się ich dość szybko i pierwszą swoją chałturę w knajpie zagrałem na gitarze. Marek jak to zobaczył, z miejsca się zapalił i też rozpoczął naukę tych "barów". Tak więc niedługo już mogliśmy "we dwójce" próbować sobie u mnie w domu przy fortepianie różne "temaciki". Pamiętam stałą odzywkę Szymaszkiewicza z tego okresu. Marek zwykle mówił: "No to co Jan, może teraz zasadzimy "Hałhaja", ale na razie w medium, dopóki się nie nauczę..." (wiedzieliśmy już, że medium - znaczy "średnio" w odniesieniu do tempa). Stąd też chyba wywodzi się nazwa "Medium Quintet", mojego pierwszego zespołu, którego załóżek tak właśnie powstawał. Szymaszkiewicz kupił sobie własną, nieco lepszą gitarę i szybko zaczęliśmy marzyć jakby to fajnie było jeszcze mieć coś "z bębnow". Wprawdzie coraz to liczniejsi kibice przysłuchujący się naszym zmaganiom wystukiwali ochoczo rytm na krześle czy stole, ale to już nie wystarczało. Pewnego razu jeden z tych kolegów pojawił się z autentycznym werblem, pałeczkami i szczoteczkami. Miał on też autentyczną smykałkę do grania, jak również nie mniej autentycznego wujka - dyrektora szkoły zawodowej - który mu ten sprzęt z magazynu szkolnego wypożyczył. Całe szczęście że Marian Szpruch tego wujaszka miał. Moja Rodzina bowiem jeszcze nie dojrzała była do tria z bębnami w swoim domu i odmówiła prawa azylu. W kilka lat później "zdzierżali" znacznie

więcej. Uratował nas znów wujaszek, który zgodził się na uprawianie muzyki w Jego szkole. Odstąpił więc nam lokal, którym była aula szkolna przy ul. Barlickiego. Zaprawdę nie wiedział biedak co czyni. Dla nas to był raj. Na miejscu była prawie kompletna perkusja, z "break-maszynką" i czynelami. Była również "cyja" czyli akordeon, co miało się stać początkiem pecha Kosińskiego. Było też oczywiście pianino. Próby robiliśmy popołudniami, kiedy szkoła była prawie pusta, na razie w trójeczkę. Ale nie za długo. Kiedyś ni z tego ni z owego przyszedł do nas zupełnie obcy facet. Powiedział że nazywa się Achteлик. Przechodził ulicą i usłyszał przez okno, że ktoś gra "Lullaby Of Birdland". No to musiał przyjść na górę zobaczyć co jest. Kilka lat później był jednym z członków założycieli Śląskiego Jazz Clubu. Inni kibice też szybko wywyszli i przytazili, mimo iż wujaszek prosił aby nikogo nie sprowadzać. Zaczął również przychodzić Kosiński. Początkowo tylko tak, poplotkować z miłą asiora, ponieważ grał już na stałe w jakiejś knajpie i czuł się klezmerem pełną gębą. Wpadał też Gienek Rybol, bardzo zdolny pianista samouk, który już wcześniej pozwolił mi podłapać kilka "knifów" fortepianowych. Gienek grał nieźle także na akordeonie więc jak tylko zobaczył, że coś takiego jest w magazynie, zaraz złapał za "cyję" i zaczął z nami muzykować. Kosiński to usłyszał i żał mu się zrobiło. W tej jego knajpie, jazzu za bardzo nie mógł sobie pograć, a tu jednak była pokusa. Tylko że ta "cyja". Jak by nie było ja nakręciłem ten interes i mowy nie było, żebym kogoś puścił "na piano". Ponadto Kosiński był lepiej zbudowany ode mnie i miał więcej siły żeby dmuchać w ten miech. Zaczął się więc, acz niechętnie, też przymierzać. No i tak się zaczęło. Robiliśmy repertuar nie tylko jazzowy, bowiem już wtedy było wiadomo, iż tylko z tego człowiek nie wyżyje. Ja w międzyczasie też zacząłem "pracować" w lokalu jako etatowy muzyk Głiwickiej Gastronomii. Zwerbował mnie niejaki Eryk Klak, skądinąd niezły saksofonista i klarneccista oraz ogromny spryciula na forszę. Z jego zespołu odszedł pianista, na marskość wątroby zresztą, potrzebny więc był nowy człowiek. Lokal, w którym zacząłem "prace" nazywał się "Bar Pod Szóstrką" i był jedną z najgorszych melin w Głiwicach. Do dobrego tonu należało wtedy mówić "pracuję w lo-

kalu", a nie "gram w knajpie". Grać można było na zabawie, na weselu, na pogrzebie, czy na innej chałturze. W lokalu gastronomicznym się "pracowało". Ta moja "praca" "Pod Szóstką", to temat na oddzielną pracę doktorską. Wspomnę tylko że tam właśnie odbył się premierowy występ publiczny zespołu "Medium" ale jeszcze w kwartecie, ponieważ nie mieliśmy kontrabas do dyspozycji. Kierownikowi lokalu brakowało do planu, zarządził więc dodatkowy dancing w wolny dzień. Etatowi muzycy nie chcieli, więc zwrócił się do mnie, żebym kogoś znalazł. Za "procent od utargu". Przyciągnąłem swoich "z górki" i obsłużyliśmy ten dancing. Zarobek wyniósł po dwadzieścia złotych i dużym piwie "na twarz". Do dziś dokładnie pamiętam. Tymczasem nadal ćwiczyliśmy w naszej auli "na górcie". Ale nadciągały już groźne chmury. Zaczęto tam schodzić się coraz więcej tak zwanej "żulii". Coraz częściej pojawiały się "panienki" i wódeczka. Prosiliśmy kolegów aby dali sobie na wstrzymanie, bo wiedzieliśmy czym to grozi. Ale co tam. "Nie było siły". Woźny początkowo dawał się przekupić "drobną lufą" i papierosikiem, ale w końcu się przestraszył i doniósł. Przyszła jakaś kontrola i wylecieliśmy z trzaskiem. Wujaszek Mariana Szprucha niemal też. Miał jednak na szczęście "mocne układy" i sprawa jakoś rozeszła się po kościach. Również na szczęście i dla nas. Znowu zostaliśmy bez lokalu na próby. Jednakże wtedy już było za późno żeby się poddawać. Musieliśmy coś znaleźć. I znaleźliśmy. Uratował nas ponownie Marian Szpruch. Tak się jakoś złożyło, że mieszkał on praktycznie sam w dużym mieszkaniu przy ul. Chodoby. Nie posiadał wprawdzie pianina, ale ten problem wzięliśmy dosłownie z marszu. Jeden ze świeżo upieczonych "kibiców", aby się wkupić, przekonał swoich Rodziców, którzy zgodzili się wypożyczyć nam pianino: Trzeba było od nowa rozwiązać sprawę perkusji, ponieważ stosunek wujaszka do nas był już zupełnie ambiwalentny. Ale i to przeskończyliśmy, nawet już nie pamiętam jak. Ba, nawet po pewnym czasie zaczął się pojawiać basista z autentycznym basem. Był to muzyk z operetki, miał dobrze opanowany instrument, choć bardziej "arco" niż "pizzicato". Ale był dość chętny i bardzo sympatyczny, a ponadto biegle czytał nutki. W tym czasie ja już masowo pisywałem "nutki". Kosiński też, ale mniej, gdyż leniwiec był z niego wielki. Nie nazywaliśmy nawet

tego jeszcze aranżacjami. Ściągało się z radia, wymieniało z innymi klezmerami i natychmiast próbowało. Repertuar nasz szybko rósł i wkrótce byliśmy zdolni do obsłużenia dowolnej chałtury. Lokal na próby u Szprucha funkcjonował znakomicie przez dłuższy okres czasu, choć muszę przyznać (nie chcąc absolutnie obrazić ani gospodarza ani siebie), że "melina" byłaby jednak nazwą bardziej adekwatną. Schodził się tu tak zwany "element", czyli nasi kibice, którzy nie tylko kibicowali próbom kapeli, ale prowadzili też zajęcia własne w różnych grupach... Mieszkanie jednakże było prywatne, mury grube i jakoś to wszystko przysychało. Jeśli chodzi o nas to odbywał się tam prawdziwy poród zespołu, z którym potem weszliśmy na "arenę". Szymaszkiewicz już miał elektryczną gitarę, zrobioną z magnesów od słuchawek telefonicznych i starego radia w charakterze wzmacniacza i głośnika. Pozwoliło nam to na próby naśladowania brzmienia kwintetu George'a Shearinga, który już dobrze znaliśmy z radia. Dodać tu należy iż to, że sam Shearing zamieniał czasami fortepian na akordeon. znacznie złagodziło cierpienia Kosińskiego z "cyją". Tadek już wtedy lubił jak się do niego mówiło "Erol". Znacznie bardziej niż "Erdol" i jeszcze znacznie niż "Nietoperz". A był z niego nietoperz ogromny. Umawiał się - nie przychodził. Miał coś załatwić - nie załatwił. Miał co napisać - nie napisał, albo mówił że napisał, tylko zgubił. Słowem nietoperz. Człowiek z nim nie był pewny dnia ani godziny. Ale jakoś rozwijaliśmy się. Zaczął się pojawiać Rysiek Szumlicz, który akurat skończył służbę wojskową, a którego do nas przyciągnął Kosiński. Szumlicz karierę perkusisty rozpoczął dość wcześnie, bo jeszcze jako harcerz na werblu. Potem chałturzył z Łosiem i Kosińskim (z nimi właśnie grał na mojej studniówce). W wojsku też grał w jakiejś kapeli i kiedy przyszedł do nas, to już asior był z niego nie lada. Szpruch dość szybko odpadł, ponieważ trzeba było już naprawdę coś umieć na tych bębnach, a Marian zupełnie nie miał zdrowia do ćwiczenia. Zaczął się również koło nas kręcić Staszek Otałęga. Nie umiał jeszcze wtedy zbyt dobrze grać na kontrabasie, ale za to umiał zawsze zdobyć instrument, a to się liczyło. W takim to składzie odbyła się nasza właściwa premiera - już nie "na zastępstwo", tylko na własną umowę. Była to zabawa z okazji Święta

Straży Pożarnej. Impreza odbyła się na Kąpielisku Leśnym w Gliwicach. W samo południe. Upał trzydzieści stopni Celsjusza. My na estradzie w pełnym słońcu i w eleganckich garniturach. Rok 1953, zdjęcie mam do dziś...

No i tak to się zaczęło. Nastąpił okres chałturzenia na potęgę, który trwał, w tym składzie prawie zawsze, do roku 1955. Graliśmy gdzie popadło. Jednym z lepszych dla nas "źródełek" był, wspomniany już uprzednio, Studencki Dom Kultury, gdzie graliśmy dla studentów, dla pracowników naukowych i dla każdego komu udało się tę salę wynająć. Ale nie tylko tam. Kapela stała się dość popularna i dość nawet lubiana. Ponadto "pracowaliśmy" w lokalach gastronomicznych. Wszystko za marne pieniądze, ale takie to były czasy. W taki to właśnie sposób przegrałem cały rok studiów. Drugi mianowicie, który musiałem powtarzać, ponieważ do letniej sesji egzaminacyjnej zabrakło mi trzynastu (nomen omen) zaliczeń... Wtedy była to tragedia. Szczególnie dla moich Rodziców. Dziś tego zupełnie nie żałuję. Właśnie w okresie w którym wszystko się dopiero wykluwało (jeśli chodzi o wiadomą muzyczkę) - ja byłem w samym środeczku. Jeszcze w jajku przed rozbiciem skorupki. A działo się coraz więcej. Kurylewicz, który miał tu rodzinę, wpadał dość często do Gliwic i objawiał czasami maluczkim to i owo. Już wtedy to była "firma". Wrócił również do Gliwice z wojska Witek Kolankowski, który całą swoją służbę odbył jako solista na akordeonie w Reprezentacyjnym Zespole Wojska Polskiego. Witek umiał bowiem grać wspólnie także i na akordeonie. Mieszkał w Gliwicach jeszcze przez kilka lat. Nawiązaliśmy liczne kontakty. Jednym z pierwszych było sprzedanie Szymaszkiewiczowi szalenie eleganckiej gitary, tak zwany typ "Gibson". Potem Witek sprzedawał każdemu kto chciał i kto nie chciał - swoje niezliczone "grepsy", czyli coś w rodzaju kawałów słowno-sytuacyjnych. Bo był z Kolankowskiego "gropser nad grepserami". Obegraliśmy też razem wiele chałtur, dzięki czemu Witek sprzedał mi mnóstwo "knifów", szczególnie harmonizacyjnych, w czym był mistrzem nie lada.

Jest już rok 1955. Na Politechnice wybuchła epidemia tyfusu. Odwołane są wszystkie praktyki i obozy wakacyjne. Mam wolne trzy miesiące! Udało się nam załatwić "pracę w lokalu". Lipiec w Ustroniu, sier-

pień w Wiśle. Gramy w normalnym składzie, ale Otałęga dość szybko zaczął nam podpadać. Nie lubił przychodzić na próby. Kilka razy zrobił tak zwaną "porutę" czyli "dał ciała" (jak się to teraz mówi). Był bowiem również dużym "grepserem", tylko że chyba w nie najlepszym stylu. Wkurzał nas coraz bardziej i kiedy któryś z nas zauważył że Staszek stroi struny kontrabasu tak jak Szymaszkiewicz struny gitary - miarka się przebrała. Zrobiliśmy "zebranie zespołu" i zagroziliśmy Otałędze że zostanie usunięty, jeśli nie poprawi się do końca lipca. Decyzja zapadła stosunkiem głosów cztery do jednego. Staszek miał około dwóch tygodni czasu na "poprawę". Ja zresztą też, ponieważ bas był potrzebny i trzeba było w tym czasie kombinować na wszelki wypadek jakieś zastępstwo. Napisałem list z propozycją do Witka Kujawskiego (sam już nie wiem skąd miałem jego adres). Dostałem błyskawiczną odpowiedź, że Kujawski się zgadza. W tym momencie Otałęga już był przegrany, żeby nie wiadomo jak się poprawia... Kujawski był przecież basistą "Melo-manów" (o czym już dobrze wiedzieliśmy) i był to nie lada zaszczyt grać z takim facetem. Kapela więc pojechała na sierpień do Wisły, a Otałęga do domu. W Wiśle, na godzinę przed rozpoczęciem dansingu w kawiarni "Centrum", zastaliśmy na estradzie prawidłowo nastrojony kontrabas, a przy stoliku uśmiechniętą buźkę Kujawskiego, który czekał z "lufą na wkupienie". Po wykonaniu pierwszego utworu wstąpił w nas nowy duch. Zrozumieliśmy co to znaczy mieć dobrego basistę. Instrument było słychać wyraźnie i głośno, Witek "sadził" po prawidłowych funkcjach i wspaniale swingował. To było to, czego nam brakowało. Był nie tylko świetnym muzykiem, ale znał wszystkich i grał ze wszystkimi, którzy się w Polsce w tym czasie liczyli. Po pierwszym dansingu byliśmy już potężnie zaprzyjaźnieni i w przerwach słuchaliśmy z zapartym tchem wiadomości z pierwszej ręki o tym co się dzieje w Krakowie, w Warszawie, w Łodzi czy w Poznaniu. Naprzeciwko była również knajpa z dansingiem - "Zdrojowa". Grających tam muzyków poznaliśmy już pierwszego dnia, w czasie przerwy kolacyjnej. Sami starzy wyjadacze i wszystko starzy kumple Kujawskiego. Nie mieli oni ambicji jazzowych, ale to co grali było zrobione "ze smaczkiem". Duża w tym była zasługa Zbyszka Choroszewskiego, ogromnie uzdolnionego pianisty-samouka. Bardzo go

serdecznie wspominam. Grał tam również bardzo fajny saksofonista i klarncista Staszek Przybylski, z którym później przez pewien czas chałturzyłem po Śląsku. Szybko rozwinęło się życie towarzyskie. Uczyliśmy się slangu klezmerskiego i wkrótce umieliśmy prawidłowo postugiwać się słowem "neskim", nie bardzo wiedząc co ono oznacza. Tak po prawdzie, to do dzisiaj nikt tego nie wie. Dowiedzieliśmy się, że rodzaj ludzki pod względem płci dzieli się na "cizie" i "cizioli" bez względu na wiek. "Baś" - znaczy forsa, a "Łaś" - wszystko co "łaziorne", czyli "lewe". "Łaś Baś" - chałtura za marne pieniądze. "Ciować" - znaczy mniej więcej kochać, ale raczej więcej... I jeszcze wiele, wiele innych tak zwanych "tekstów". Poczuliśmy się klezmerami z branży. Grało się nam coraz lepiej. Witek zadeklarował chęć współpracy po powrocie na Śląsk. Dobrze było. W międzyczasie "doskakiwali" różni znajomi z Gliwice. Wpadł na kilka dni Kolankowski z "panienką", czyli "cizią". Pograł trochę z nami, poplotkował, zrobił kilka "grepsów" i pojechał. Przyjechało też kilku kolegów z grona naszych gliwickich kibiców i zaczęli opowiadać ciekawostki. Ze w Zabrze jest taki dom Kultury, którego kierownik to "swój ciziol". Jest tam taki amatorski zespół typu "tekst i piosenka", muzyczkę im robi nasz kolega Tadek Tabeński, ale byłoby miejsce i na naszą kapelę. Jest duża sala, jest fortepian, można by kombinować jakieś wspólne imprezy. Zaczęło się to nam podobać. Witkowi Kujawskiemu zaczął zaś chodzić po głowie pomysł zorganizowania w Zabrzu Ogólnopolskiego Jam-Session. Jest sala z instrumentem, jest dobry człowiek od tej sali, Witek wszystkich zna - dlaczego by nie spróbować?

Zostaliśmy w Wiśle jeszcze nadprogramowo przez trzy tygodnie września. Przed wyjazdem idea tego jam-session była już naszą "idee fixe". Impreza taka raz już się odbyła przed rokiem 1954 w Krakowie, ale z różnych względów nie miała takiej skali jak to sobie Kujawski wymarzył. Po powrocie do Gliwic natychmiast zaczęliśmy rozpracowywać ten Dom Kultury. Wszystko okazało się prawdą. Była wspaniała sala na około siedemset miejsc z niezłym fortepianem, był wspaniały kierownik, była grupka solistek i solistów od śpiewania i wygłaszania tekstów, takich mniej lub bardziej satyrycznych i była autentyczna chęć współ-



pracy. Z miejsca poczuliśmy się (znów nomen omen) rodzinnie. Pośród tych solistów bowiem znajdowała się moja przyszła żona. Ale nie tylko moja, również żony Kosińskiego i Tabeńskiego. Wtedy jednak nie wiedzieliśmy jeszcze co nas czeka. Magister Jan Piotrowski przywitał nas jak starych znajomych, a już po pierwszej próbie powiedział: "Kochani, przerobimy ten dom kultury na taką melinę jazzową, że wszystkim oko zbieleje". Nic nie przesadził Magister, bo tak się tylko mówiło: Magister i wiadomo było o kogo chodzi. Otóż Magister był duchem młodszy od nas, mimo że lat miał ze dwa razy więcej niż Rysiek Szumlicz, który był chyba najstarszy w kapeli. Był pełen promieniującej życzliwości i energii, mimo że życie specjalnie go nie głaskało (stracił nogę w Powstaniu Warszawskim). Dla naszego zespołu i - myślę - w ogóle dla rozwoju jazzu na Śląsku, był to mąż opatrnościowaty. Próby w zintegrowanym składzie ruszyły z kopyta i już za kilka tygodni odbył się tam pierwszy wspólny koncert. Taki prawdziwy, z afiszami i do słuchu a nie do tańca. Na afiszach było ogromnymi literami "BE BOP", a dalej Zespół "Medium Quintet" oraz artyści Domu Kultury Huty Zabrze. Wśród solistów śpiewających z zespołem była, między innymi Czesława Łozińska, która już za rok nazywała się Czesława Kwaśnicka i tak zostało do dziś... Impreza była bardzo udana. Publiczność wyglądała na zadowoloną, "czynniki" również. O jazzie się tam nie mówiło, tylko się go grało. Równoległe z próbami do tego pierwszego naszego koncertu trwały gorączkowe przygotowania do jam-session, którego pomysł Magister przyjął jak swój i pracował jak mróweczka, aby doprowadzić do jego realizacji. Czasu było mało - niewiele ponad miesiąc. Kujawski i ja wysłaliśmy ponad sześćdziesiąt zaproszeń do muzyków (Witek znał wszystkie adresy) z prośbą o potwierdzenie przyjazdu. Magister przekonywał "czynniki", że musi na półtora dnia, a ściślej na pół dnia i jedną noc - zamknąć dom kultury, ponieważ odbędzie się tam zamknięta impreza, o której nic bliższego nie można było powiedzieć poza tym, że będzie zamknięta... Jak on ich przekonał?! Zaczęły przychodzić potwierdzenia od muzyków. Przyjazd zapowiedzieli prawie wszyscy, z wyjątkiem może dwóch, czy trzech. Krzysztof Komeda Trzciniński bardzo grzecznie przeprosił, że nie może przyjechać, ale właśnie zdaje dyplom w aka-

demii medycznej. Jeden z krakowskich klezmerów błagał o brzebaczenie, ponieważ miał już wcześniej podpisaną chałturę na Dzień Zaduszny (jakaś uroczystość kościelna). Ten to nas zachwycił. Kto był trzeci nie pamiętam. Trzeba było szybko rozprościć około siedmiuset zaproszeń. Wszystko prawie imiennie. Rozprowadzali je tylko "swoi" ludzie. Henio Choliński (który już wtedy działał w jazzie na pełną parę) i ja - obskakiwaliśmy Politechnikę Śląską i oczywiście swoich rozlicznych znajomych. Kosiński działał chyba w środowisku operetki. Zygmunt Wichary "załatwiał" Katowice, co miały wtedy piękny pseudonim "Stalinogród". Witek Kujawski rozpracowywał oczywiście Kraków, jak też i inne miasta w których miał "swoich" ludzi. Zaproszenia były płatne (kolejny powód do kryminału), ponieważ potrzebowaliśmy pieniędzy na zwrot kosztów podróży dla muzyków. Wichary jednak rozliczył się ze swojej części przy pomocy kilku skrzynek wódki, ponieważ i taka potrzeba była. "Jam lubi pływać" - mówił "oliwa" Kujawski ... No i przyszedł ten Dzień Zaduszny Roku Pańskiego 1955. Przyjechali wszyscy którzy powinni byli przyjechać. Ponad pięćdziesięciu muzyków oraz kupa "działaczy" z całego kraju. Impreza rozpoczęła się około godziny siedemnastej lub osiemnastej. Otwarcia dokonał ... Redaktor Naczelny Trybuny Robotniczej. Otóż Wiktor Kryszczukajtis (bo tak się nazywał ten bardzo sympatyczny pan) - wyszedł na scenę przy dźwiękach dochodzącej zza kulis "Swanee River" i wypowiedział taki mniej więcej tekst: "Już wielki Szekspir przewidywał nadejście ery jazzu mówiąc TO BE OR BOP TO BE!!!" Następnie przedstawiał muzyków, którzy kolejno wchodziłi grając na scenę. Oj Boże! Cóż to była za impreza. Do dziś wielu z nas opowiada o niej swoim dzieciom i wnukom, jak tylko trochę podrosną. Prawdziwe dreszcze przechodziły po plecach, zwłaszcza że wcale nie było pewne iż lada chwila nie otworzą się drzwi i nie zacznie się opróżnianie sali. Na szczęście nie opróżnili. Musieliśmy to jednak zrobić my - organizatorzy i to znacznie wcześniej niż było planowane. Impreza rozwinęła się że tak powiem zbyt żywiołowo. Troszkę za dużo było piynów i gdzieś około północy zaczęło się robić "i śmieszno i straszno". Trzeba było kończyć. Organizatorzy trzymali jednak na tyle "fason", że byliśmy w stanie odprowadzać na dworzec co bardziej "zmęczonych" klezmerów.

Magister osobiście pomagał wkładać ich do wagonów, każdego obcałowywał na pożegnanie i pokrzykiwał radośnie: "Udało się! Udało się!!!". I rzeczywiście, mimo wszystko, udało się. Przez tych kilka godzin, grania było co niemiara. Nawiązanych zostało mnóstwo nowych kontaktów i znajomości, umocnionych zostało nie mniej starych przyjaźni. Po zakończeniu zabrzańskiej imprezy, słysząc jeszcze było przez czas jakiś jej echa w postaci oficjalnie rzucanych gromów, ale były one znacznie cichsze niż można by się spodziewać. Odwilż bowiem czuć już było w powietrzu. Dzięki nawiązanym na tym jamie kontaktom, zespół nasz został zaproszony na koncert do Warszawy. Pojechaliśmy tam na samym początku 1956 roku. Impreza odbyła się w sali Akademii Medycznej przy ul. Oczuki, a śpiewała z nami jako solistka Danuta Marczycka. Po koncercie odbył się lokalny jam i w ogóle fajnie było. Dla nas najważniejsze znaczenie miał fakt, że w Warszawie czy Krakowie wiedziano już, iż na Śląsku grasuje nie tylko Wichary, ale i Kwaśnicki z Kosińskim. A grasowaliśmy naprawdę. Magister nadrukował afiszy, ponawiały kontakty z zaprzyjaźnionymi domami kultury i zaczęliśmy objeżdżać Śląsk - głównie powiatowy. Po kilku imprezach czuliśmy się już jak zawodowcy. Teraz, po latach, myślę, że nie była to całkiem zła robota. Program był uczciwie przygotowany na wielu próbach, a z racji składu naszego zespołu i charakteru granej muzyki - było to dość łagodne przygotowanie do burzliwej epoki jazzu, która już wkrótce miała nadejść. Jednakże w miarę upływu czasu czuć było, że i w naszej kapeli zbliżają się zmiany. Kosińskiemu i mnie zaczynało się robić ciasno w tym samym zespole. Problem "oba samce", czyli dwóch pianistów - nabrzmiewał. Dodatkowym czynnikiem odśrodkowym było to że Kosiński chciał jak najszybciej przejść na pełny profesjonalizm. Granie było jego jedynym (oprócz mamusi) źródłem dochodów i trudno się tym ciągłom dziwić. Magister wprawdzie starał się jak mógł, jednak za wiele nie mógł i naprawdę nie można było z tych naszych imprez wyżyć. Kosiński, który miewał po sto różnych, często niestety nie najlepszych pomysłów naraz, wymyślił coś co bardzo przyczyniło się do ostatecznego rozpadu "Medium Quintet". Wymyślił mianowicie aby zaangażować specjalnego "organizatora", który miał nam ułatwiać mnóstwo dobrze płatnych imprez. Facet którego znalazł okazał się zwykłym kanciarzem. Wykradł pieczętka domu kultury i kupę naszych

afiszy a następnie zaczął po różnych dziurach organizować koncerty. Tyle że nie nasze a na nasze konto. Zbierał jakichś ludzi którzy często prawie w ogóle nie umieli grać ani śpiewać, płacił im grosze, albo zgoła tylko mówił że zapłaci i robił imprezy pod naszymi nazwiskami. Bywały ponoć wypadki, że publiczność chciała po koncercie bić "artystów". Zrobiła się afera. Magister był załamany i musiał dać do gazet ogłoszenie zaczynające się od słów: "Nie pertraktować z oszustem..". Nie mogło to dobrze wpłynąć na naszą współpracę z domem kultury. Jednakże Magister Jan Piotrowski nie należał do ludzi którzy łatwo się zniechęcają. Przez długi jeszcze czas jego dom kultury był "meliną" jazzową. Zorganizował w starym składzie jeszcze kilka imprez na Śląsku oraz chyba ze dwa wyjazdy do Zakopanego, gdzie mieliśmy wczasy "na koszt firmy" a koncerty dla siebie (pamiętam, że występowaliśmy między innymi w Morskim Oku). Ale proces odśrodkowy już trwał. Zarówno Kosiński jak i ja zaczęliśmy coraz więcej chałtur obgrywać w oddzielnych składach. Zabrze jednak nadal pozostawało centrum naszego życia i to nie tylko jazzowego. Pod koniec 1956 roku odbył się mój ślub z Czesią. W niedługim czasie w szranki małżeńskie wstąpili również Kosiński i Taberński. Kariera piosenkarska mojej małżonki zakończyła się zaraz po naszym ślubie. Musiał przecież w domu być ktoś w miarę normalny ... Zbliżał się bowiem burzliwy okres w światku jazzowym, do którego ja już należałem duszą i ciałem. Małżeństwo jednak "dobrze zrobiło na moje studia", które od tego czasu poszły znacznie sprawniej. Tymczasem w naszym domu kultury grupa entuzjastów, zarówno muzyków jak i miłośników jazzu, kombinowała jakby tu założyć prawdziwy Jazz Club. Był rok 1957, jazz przestał już "szkodzić na socjalizm" i można było realnie o takim czymś myśleć. Co nie oznacza, że sprawa była prosta do załatwienia. W grupie fanatyków byli jednak ludzie niezłomni. Należeli do niej Henryk Choliński (który już wtedy stawał się szybko ekspertem od jazzu na mikrorówkach); Wiesiek Kwasek, Rysiek Siomkajło, Achtelik (o którym już wspominałem, a którego imienia nie pamiętam), pan Folwarczny (również kolekcjoner płyt jazzowych) i inni, nazwisk w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć. Był wreszcie Jan Piotrowski, którego zabiegi walnie przyczyniły się do tego, że wkrótce zarejestrowany

został w Katowicach Śląski Jazz Club z siedzibą w Zabrze. Magister, który został pierwszym prezesem, oprócz swoich innych rozlicznych zalet, był jeszcze magistrem prawa ... Teraz wszystko zaczęło się toczyć szybciej. Okres podziemia został definitywnie zakończony. Zakończył też definitywnie swoje istnienie "Medium Quintet". Jego członkowie rozpełzli się w różne strony. Szumlicz rozpoczął współpracę z Kurylewiczem w Krakowie. Kujawski do nas tylko doskakiwał a grał na stałe z Melomanami. Szymaszkiewicz przymierzał się do grania z kabaretem "Wagabunda", gdzie przez pewien czas współpracował z Kolankowskim. Kosiński rozpanoszył się w Domu Kultury Huty Zabrze (skąd mnie trochę wygryzł). Zaczął tworzyć różne składy typu big band, do których ściągali muzyków skąd się dało (między innymi z Wrocławia). Przez pewien czas szaleli po Śląsku pod firmą Jazz Clubu, a potem "poszli w Polskę". Ja zostałem trochę osamotniony. Zaczepiłem się przy "Estradzie" w Katowicach i przeżyłem dość ciemną kartę w życiorysie muzycznym. Jeździłem z różnymi "składankami", "kinówkami" i Bóg wie jeszcze z czym. Tworzyłem do tego celu przeróżne kapele, przeważnie dixielandowe (bo taka była moda), a moim muzykom najczęściej musiałem pisać improwizacje ... Dość to wszystko było żałosne, ale trzeba było jakoś żyć. Na wiosnę 1957 roku odbyły się w Gliwicach pierwsze "Igrze Zaków". Zaproponowano mi abym skompletował ze trzy a może nawet cztery zespoły dla obsłużenia zabaw studenckich związanych z tą imprezą. Udało mi się pościągać z całej Polski chyba ponad dwudziestu muzyków i obsłużyliśmy wszystkie te chałtury. Było to znów fajne spotkanie klezmerskie. Pamiętam że był Zbyszek Choroszewski, był Idon Wojciechowski (trębacz z zespołu Melomanów) był chyba Dentoks Sobociński (również z Melomanów). Z Krakowa przyjechała ekipa z Kujawskim i "Drażkiem" Kalwińskim na czele. Słowem naprawdę doborowe towarzystwo. Wszystkie imprezy udały się znakomicie i były niezłe płatne, przez co i muzycy nie narzekali. Na koniec odbyło się wspólne jam session, oczywiście w sali Domu Kultury Huty Zabrze, gdzie po gościnnym przyjęciu przez Magistra Piotrowskiego klezmerzy rozjechali się naprawdę już usatysfakcjonowani. Moje zaś akcje w Gliwicach dzięki tej imprezie - poszły znacznie w górę. Owczesny Szef Kultury naszego ZSP powiedział do mnie: "Kochany, skombinuj jakąś fajną

kapelę dixielandową. My wam damy granie na five'ach w "Spirali", będziecie obsługiwać bale studenckie a potem was wyślemy na Festiwal Kultury Studenckiej w Krakowie". Szefem tym był Stefan Guzowski. Nie wiedział nawet że wyciąga mnie z dużego "marazmu". Prawie wszystko odbyło się zgodnie z tym planem. Poznałem akturat wtedy Henia Senka, młodziutkiego jeszcze chłopaczka, który już nieźle "wymiatął" na klar-neciku i alcie. Na trąbkę "zgodziłem" Dyzia Kuberka, jednego z nie-licznych lepszych muzyków z jakimi chałturzyłem w Estradzie. Na pu-zonie grał pewien bardzo fajny klezmer z Krakowa (nazwiska już nie pa-miętam), tyle że był to w zasadzie gitarzysta. Na perkusji objawił się Adam Jędrzejowski - wówczas jeszcze student Politechniki Śląskiej. No i na bas przyszedł znów Staszek Otałęga. Stare urazy minęły, a Stasio zdążył się już trochę poduczyć grać. Przynajmniej bas stroił prawidłowo ... zaczęliśmy grać na tych five'ach w Spirali i robić pró-by. Napisałem że plan Guzowskiego został wykonany "prawie" w całości. Dlatego "prawie", że chociaż Stefan wydusił na mnie skład dixielando-wo i robiliśmy ten repertuar, to jednak niewielu z nas miało zacięcie do jazzu tradycyjnego. Równolegle zaczęliśmy więc opracowywać sobie "na boczku" numerki w kwartecie. Takie bardziej nowoczesne. Alt, pia-no i sekcja. Z "hybrydowym" repertuarem pojechaliśmy w 1958 roku na Festiwal Kultury Studenckiej w Krakowie. Pamiętam, że Andrzej Kuryle-wicz, który był już wtedy jurorem, przyszedł do mnie i powiedział: "Wiesz co, z tym dixielandem to moglibyście sobie dać spokój, ale w kwarteciku może warto by popracować". Nasz kwartet został wówczas skła-syfikowany na trzecim miejscu w kategorii zespołów nowoczesnych. Po-szedłem za radą Kuryła. Na następny Festiwal w 1959 roku przyjechali-śmy już tylko w kwartecie. Zajęliśmy wtedy pierwsze miejsce wśród ze-społów nowoczesnych. Na tym samym festiwalu "objawił" się młodziutki Zbyszek Namysłowski, który wówczas grał na puzonie. Zajął wtedy wraz ze swoim zespołem z Warszawy - pierwsze miejsce w kategorii jazzu tra-dycyjnego. Tak sobie teraz myślę, że rok 1957 był dla mnie rokiem prze-lomowym. Zarówno w życiu osobistym - zostałem wtedy nieprzytomnym z radości tatusiem swojej córeczki Hanny, jak też w działalności muzycz-nej, gdyż wówczas zaczął właśnie kształtować się mój najlepszy zespół.

Bardzo ważne również było zakupienie przeze mnie pierwszego magnetofonu. Magnetofon gwałtownie rozszerzył możliwości repertuarowe i możliwości podpatrywania stylu wielkich muzyków. W ogóle w tym roku działo się wiele. Regularnie zaczęło wychodzić w Gdańsku czasopismo "Jazz". W Krakowie zakładaliśmy Federację Jazz Clubów Polskich. Jednym z członków założycieli był Śląski Jazz Club. Pamiętam że w zakładaniu Federacji brali między innymi udział Leopold Tyrmand, Roman Waschko i Jan Balcerak (redaktor naczelny "Jazzu"). Szybko podnosił się poziom naszej muzyki jazzowej. Zespół Melomanów, jak też różne asocjacje tworzone przez Andrzeja Trzaskowskiego, Andrzeja Kurylewicza, Ptaszyna Wróblewskiego, czy wreszcie Komedę Trzcinińskiego - wszyscy oni robili już muzykę, której nie trzeba było się wstydzić. Na Śląsku, po odpięciu trupy Kosińskiego "w siną dal" centrum Jazz Clubu przeniosło się do Gliwic. ZSP dało siedzibę i patrzyło życzliwym okiem na naszą działalność. Ja zostałem drugim prezesem po Janie Piotrowskim. Wszystko skupiało się przez pewien czas w klubie "Spirala". Tam regularnie graliśmy i robiliśmy próby. Tam też przez długi czas odbywały się tak zwane "czwartki jazzowe", na których były wygłaszane prelekcje ilustrowane muzyką mechaniczną. Mistrzem ceremonii był na ogół Henio Choliński. Tam też odbyło się wiele jam sessions. Nasz Jazz Club utworzył filię w Rybniku, gdzie działał ze swoją kapelą (i działa do dziś) nieoceniony Czesio Gawlik. Dzięki Niemu większość gliwickich i nie tylko gliwickich imprez była powtarzana w Rybniku, a po prawie każdej odbywało się jam session do białego rana... Wszystko to właśnie w latach od 1957 do gdzieś 1961. Później też, tyle że już nie z takim rozmachem. W następnym okresie wiele funkcji centrum jazzowego przejął w Gliwicach inny klub studencki "Gwarek". O ile czasy sprzed roku 1957 układały się w moich wspomnieniach w jakiś bardziej ciągły film, to okres późniejszy jawi się w pamięci w formie bardziej pojedynczych, urwanych klatek. Dziwne to trochę, ponieważ w tym właśnie okresie działo się w sensie muzycznym (jeśli chodzi o mnie) - najwięcej i najlepiej. Ponadto mniej przecież lat upłynęło i powinno się więcej pamiętać. Ale tak jakoś jest. A więc 1959 rok. Zaraz po festiwalu w Krakowie dostajemy zaproszenie do wystąpienia w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Ogrom-

ne wzruszenie i zaszczyt. Na afiszach "Jazz w Filharmonii - Kwartet Nowoczesny Jana Kwaśnickiego w składzie Henryk Senk-as, Adam Jędrzejowski-dr, Stanisław Otałęga-b, Jan Kwaśnicki-p. Jeden z pierwszych koncertów tego rodzaju. Lato tego samego roku. Gramy na wakacjach w knajpie w Darłównu nad morzem. Ni z tego ni z owego chałturzy z nami znów Marek Szymaszkiewicz na gitarze, ale już tylko "na przylepkę". My bowiem pilnie przygotowujemy się do wyjazdu za granicę, który ma być nagrodą za zdobycie pierwszego miejsca na Festiwalu w Krakowie. Zaraz po powrocie do Gliwic zaproszenie na Jazz Jambore. Jedziemy do Warszawy. Henio Senk miał się dosiąść do naszego pociągu w Sosnowcu. Niestety, "wpuścił nas do wody" i nie wsiadł. W popłochu dojeżdżamy do Stolicy, uzgodniwszy po drodze co myślimy o Senku a nawet o jego rodzinie,,, W Warszawie jakoś nawinął się "luźny" Drażek Kalwiński z altem, który zadeklarował chęć zagrania z nami. Gorączkowe próby gdzieś na Pradze /chyba Drażek załatwił to mieszkanie), ustalenie repertuaru i występujemy. Jakoś poszło, podobno nawet nieźle. Wracamy do Gliwic już w nowym składzie. Senk został za karę skreślony. Drażek zwabiony nadzieją wyjazdu do Holandii (wiadomo już było że ma być Holandia, tylko nie wiadomo było jeszcze kiedy) - zgadza się przyjeżdżać na grania i próby. Dojeżdżają pilnie z Otałęgą, który w tym czasie już też mieszkał w Krakowie. Do obsługi "Spirali" dokooptowałem jeszcze "na wszelki wypadek" Leszka Bednarskiego, który grał na puzonie i na "cyi". Potem znów wyjazd do Warszawy na nagrania w Radiu. I znowu oczekiwanie w Gliwicach prawie że na walizkach. Nawet sylwestrowej chałturzy nie podpisaliśmy, gdyż powiedziane było: "...Telegram, wsiadacie do pociągu i już jesteście w Warszawie". Wyjechaliśmy gdzieś w połowie stycznia 1960 roku. Znów duża sprawa, ponieważ byliśmy jednym z pierwszych zespołów jazzowych któremu taka sztuczka z wyjazdem "na zgniły zachód" się udała. No więc Holandia. Ponad trzy tygodnie, prawie codziennie koncert w innym mieście. Drażek łamaną angielszczyzną prowadzi konferansjerkę. Ogromne zielone afisze z napisem "HET POOLSE MODERN JAZZ QUARTET JAN KRASNICKI DE GLIWICE". Coś im się troszeczkę "pokićkało", aie i tak serce rosło. Recenzje trafiały się takie, że człowiek aż się rumienił z wrodzonej skromności. Nie mogli się nadziwić że za żelazną



kurtyną gra się jazz. Na konferencji prasowej padło pytanie czy w Związku Radzieckim też są jazz kluby. Jerzy Kwiatek, ówczesny Główny Szef od Kultury w ZSP, który nas odholował do Holandii - udzielił dyplomatycznej odpowiedzi że "szczegółowe informacje na ten temat można uzyskać w ambasadzie ZSRR w Hadze...". Naprawdę fajnie było. Zonie i córce później po nocach o tym opowiadałem. Teraz widzę następne przeżycie. Lato 1960. Gramy w Krynicy Morskiej w knajpie z gitarzystą Wojtkiem Choińskim "na przylepkę". Zona i córeczka już drugi raz spędzają ze mną w ten sposób wakacje. W kieszeni "ciepły" jeszcze dyplom ukończenia Politechniki Śląskiej. W domu został śmiertelnie chory Ojciec. Po dwóch tygodniach telegram "Przyjeżdżaj bo to już chyba koniec..." Zdążyłem dosłownie w ostatniej chwili przed... Pogrzeb, pociąg, znów Krynica, kapela i granie. Łatwiej mi było dzięki temu się pozierać. W innej knajpie grał tam Michał Urbaniak. Poznajemy się i szybko zaprzyjaźniamy. Często spotykamy się na "nocne Polaków rozmowy", grania i w ogóle. Raz nawet wpadł Zbyszek Namysłowski, który zrobił sobie auto-stopem taką turę z trąbką po znajomych na wybrzeżu. Modne było wspólne leczenie katza na plaży ... Ja to szczególnie uprawiałem, gdyż przez dłuższy czas byłem kaperowany przez niejakiego Skowrońskiego do jego kapeli, a wszystkie negocjacje były mocno podlane ... Nie dałem się namówić, a biedny Skowroński w kilka miesięcy potem zmarł. Na marskość wątroby zresztą. W Gliwicach miałem we wrześniu rozpocząć pracę jako starszy asystent projektanta w biurze projektów. Obiecałem to ojcu. I rozpocząłem, a sprawy muzyczne już tylko siłą rozpędu toczyły się jeszcze czas jakiś. Jeszcze jeden koncert w Filharmonii Narodowej. Jeszcze jedno Jazz Jamboree. Znów duże przeżycie bo był wtedy Stan Getz. Już poprzednio przeżywałem podobne wzruszenie, kiedy w 58, albo 59 roku był w Polsce mój ukochany wtedy Dave Brubeck. Kolejny obrazek - jakiś występ w telewizji (na Śląsku jej chyba jeszcze nie było). Pstryk - Zaduszki w Krakowie. Pstryk Koncert w Filharmonii Krakowskiej. Pstryk, pstryk, pstryk - chałtury, jam sessions, chałtury. Pstryk - impreza w "Spirali" pt. "Dwulecie Istnienia Kwartetu Jana Kwaśnickiego". Wielu znajomych muzyków, granie i w ogóle. Jest jeszcze kilka przeżyci, ale coraz bardziej rozmazanych i wybla-

kłych. Już znacznie wyraźniej pamiętam, że codziennie o godz. 7<sup>00</sup> trzeba było odbić kartę zegarową w gliwickim "Biprohucie". Gdzieś na początku 1961 roku mój Kwartet przestał istnieć. Granie dwa razy w tygodniu w "Spirali", plus ewentualne chałturki nie mogły już być bazą dla utrzymania zespołu. Trzeba było powiedzieć "albo rybka, albo pypka". Ja powiedziałem "pypka" i zostałem w biurze projektów. Myślałem sobie: "... popracuję ze trzy, cztery lata, zrobię te cholerne uprawnienia budowlane (które akurat wtedy nastąpiły), a bez których nie można było zostać projektantem, no i potem pójdę znów "w muzykę". Jędrzejewski powiedział "rybka", rzucił biuro projektów, zaczął grać z Trzaskowskim a potem z kim się dało i skończył na Szwecji chyba, gdzie działa do dziś. Nie jako muzyk wprawdzie, ale nie narzeka. Otałęga i Drażek Kalwiński powiedzieli "I rybka i pypka", po czym obaj pojechali do USA na jakieś stypendium muzyczne, które im ponoć załatwił pewien wujaszek z Ameryki. Tam też się i ostali. Wprawdzie nie grają już, ale grubo sobie smarują chleb masłem. Tak przynajmniej mówili, kiedy kilka miesięcy temu odwiedzili Polskę. Drażek to nawet podobno bierze udział w maratonach, żeby zrzucić te kilogramy. Otałęga nie biega to i utył okropnie. Wielu innych moich kolegów z którymi muzykowałem też głównie wypasało się "na zielonych", lub też wypasa do dziś lub też pomarło. Jak biedny Rysiek Szumlicz. Ja zaś zrobiłem te uprawnienia, zostałem tym projektantem i już miałem podpisać kontrakt na wyjazd do Norwegii, kiedy przyszła następna choroba. Tym razem Matka. Znow bezna-  
dziejna sprawa. Musiałem się tym zająć, ponieważ takie jest życie. Zmarła pod koniec 1967 roku. Wiele się do tego czasu zmieniło. Niby nie traciłem kontaktu z muzyką, lecz były to już peryferie. Jakieś granie w "Owarku", jakiś wyjazd do Francji, ale głównie jako akompaniator solistów z "Pstraga" czy "STS-su". Choć nie powiem, towarzystwo było całkiem, całkiem: Młynarski, Pietrzak. Miałem też niby kapekę, ale nie było się czym pochwalić. Potem kilka lat grania w Klubie NOT-u w Gliwicach, z fajnymi zresztą muzykami: Witold Wertel, Konrad Płoszejowski, Maciej Ropski, Krzysztof Rzucidło, Jan Piecha i inni, bo składy się zmieniały. No i jeszcze kochana Krysia "Czita" Wikarek - dobra wokalistka. Kilka występów w Telewizji Katowice (między innymi

cykl programów "Temat z wariacjami"). Jeszcze trochę innych chałtur, ale to już nie było to. Główny nurt był daleko. Zapotrzebowanie zrobiło się też na inną muzykę niż ta którą znałem i lubiłem. Jakoś to moje muzykowanie się rozmyło. Za to na innym polu trwałem nieustępliwie od 1960 roku, budując uparcie te "zreby" w biurach projektów. Przez całe 26 lat. Doszedłem do stopnia starszego oficera produkcji, czyli stanowiska kierownika pracowni projektowej. Dowodziłem już przez cztery lata, kiedy lekarz powiedział: "Albo pan teraz, jeszcze na własnych nóżkach pójdzie na rentę inwalidzką, albo za jakiś rok my pana odwieziemy na noszach...". Poszedłem sam na własnych jeszcze nóżkach i muszę przyznać, że jak na razie, wcale nie tęsknię za tą "sławą mołojeczką" inżyniera. Siedzę sobie w domu, a listonosz regularnie co miesiąc przynosi mi bułki z margaryną. Czasami nawet chodzę na zaplecze Kinoteatru "X", gdzie sam Pan Dyrektor Malitowski wtaszczył na własnych plecach dwa pianina. Jak mam trochę szczęścia, a mój przyjaciel Leszek Furman nieco lepszy humor - to udaje mi się z nim pograć na tych pianinkach ... Przeważnie jednak gram w domu, na swoim fortepianie. Najczęściej gamy, Albo też pisuję wspomnienia jak mi tylko zleca. Teraz właśnie kończąc wykonanie zlecenia myślę czy mógłbym to w jakiś króciutki sposób podsumować. Otóż mógłbym odpowiedzieć na retoryczne pytanie gdyby mi je ktoś zadał, albo gdybym je zadał sam sobie: Czy byłem wyróżniającym się muzykiem? Po odpowiednio głębokim namyśle odpowiedź brzmi: chyba tak. Spośród wielu moich kolegów wyróżniały mnie trzy cechy. Po pierwsze - nigdy nie siusiałem do umywalki. Po drugie - mimo wielu naprawdę intensywnych ćwiczeń nie nauczyłem się używania na stałe pewnych mocniejszych płynów. Po trzecie wreszcie - nie zrobiłem nigdy na muzyce jakichś większych pieniędzy. I to by było "na tyle".

SPIS TRESCI

	Str.
1. Andrzej Schmidt - "Moja zabawa w jazz 1946-1951" .....	5
2. Jan Kwaśnicki "(Wy)rzuty oka wstecz Pana Janka Kwaśnickiego"	15
3. "Rozmowa w trio o wszystkim po trochu". Z Andrzejem Zubkiem i Jerzym Jarosikiem rozmawia Leszek Furman .....	41



# „JEST JAZZ”

VII FESTIWAL KULTURY  
STUDENTÓW PRL

---

Wydawca:

ZRZESZENIE STUDENTÓW POLSKICH  
KINO-TEATR „X” i TEATR STG GLIWICE  
1987